Nr. 44 Rok 4 Kraków, dnia 31 października 1943. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



W CZWARTĄ ROCZNICĘ GG.

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

Fot. Borek

UROCZYSTOŚĆ DOŻYNKOWA

NA ZAMKU KRAKOWSKIM



Generalny Gubernator Dr Frank i prezydent Naumann wśród delegacji, która wręczyła im dary z plonów.

Fot: Borek 9, Pgg 3



W czwartą rocznicę utworzenia Generalnego Gubernatorstwa przyjął Generalny Gubernator Dr Frank na zamku w Krakowie, zespół delegatów polskiej ludności wiejskiej z różnych stron Generalnego Gubernatorstwa. Delegacja wręczyła mu pięknie udekorowane kosze zawierające wszystkie produkty rolnicze i ogrodnicze z poszczególnych okręgów. Dr Frank podziękował w serdecznych słowach wszystkim, którzy pracują na roli, za wyniki ich pracy.



Ludowa orkiestra, w barwnych strojach regionalnych ze swymi charakterystycznymi instrumentami odegrała w czasie uroczystości ludowe pieśni.







Powyżej: Po uroczystościach na dziedzińcu zamkowym, odbyło się w salach reprezentacyjnych przyjęcie, w którym wziął udział Generalny Gubernator Dr Frank.

Na lewo: Delegacja niosąca dary z plonów i orkiestra na dziedzińcu zamkowym.







Na prośbę wyrażoną przez delegację zezwolił jej Dr Frank, ze względu na rocznicę 4-lecia Generalnego Gubernatorstwa, na zwiedzenie krypty z trumną marszałka Piłsudskiego, która od początku wojny nie jest dostępna dla publiczności.

Powyżej i na lewo: Na zakończenie swej wizyty na zamku krakowskim delegaci zwiedzili różne części zamku.



Na lewo: Kierownik Wydziału Wyżywienia i Rolnictwa, prezydent Naumann, pozdrawia uczestników dożynek po ich przybyciu do Krakowa.

Na prawo: W czasie swego pobytu w Krakowie zwiedziła delegacja polskich rolników również jedno z pobliskich wzorowo prowadzonych gospodarstw rolnych.





Na lewo: Delegacja spożywa podwieczorek, w czasie odwiedzin wzorowo prowadzonego gospodarstwa rolnego.

Na prawo: Po przybyciu do Krakowa delegaci zwiedzili miasto, a między innymi kościół na Skałce.



POWRÓT Z HAL



Piękna juhaska ze swą pupilką. Obie są już przystrojone odświętnie.

Powoli zeszła jesień na łąki, pola, niwy i cały kraj osnuła mgieł całunem. Coraz częściej perlisty szron pokrywa rankami hale alpejskie, gdzie zaczynają się już przygotowania do powrotu w doliny. Już minęły tygodnie beztroskiego, pełnego swobody życia na tych pastwiskach górskich, położonych na wysokości 2000—2500 m nad poziomem morza, gdzie juhasi wypasali swe bydło w ciągu lata. Teraz należy spędzić bydło do zimowych obór i aż do wiosny czekać na ponowny wymarsz w góry.



Poniżej w kole:

Już na długo przed powrotem w doliny, juhasi i juhaski przygotowują wieczorami wspaniałe przybrania, którymi przystroją głowy swego bydła w dniu zejścia w dolinę.







Na lewo:

W przybraniu odświętnym.

Na prawo:

Jeszcze słońce przyświeca wysoko ponad górami, ale juhaska przygotowuje się już do powrotu w doliny, gdyż wieczory i noce stały się zbyt chłodne, by można je spędzać w szałasie, położonym często na wysokości 2000 m nad poziomem morza.

U dołu na lewo:

Dobrze znany, a zawsze pełen uroku obraz: Odświętnie przystrojeni powracają ludzie i zwierzęta z hal do rodzinnej wioski.

Fot: Eurofot.



Na lewo: Jeden z najpiękniejszych spędów bydła z hal w okolicach w Berchtesgaden. Wieśniacy tych okolic ładują swe bydło na tratwy i przeprawiają się z nim przez Jezioro Królewskie (Königssee). W kole: Pełen nastroju obrazek. Juhas, juhaska i pastuszek, załadowawszy swe bydło na tratwy, płyną przez Jezioro Królewskie do wsi.





Na prawo: Dwaj towarzysze zabaw. Pięknie spędzili oni lato na wesołych igraszkach i zabawach.

TORERO

Ktoż nie słyszał o słynnych hiszpańskich „walkach byków", ktoż nie emocjonował się barwnymi opisami bohaterskich wyczynów dzielnych toreadorów, owych bożyszczów rozentuzjazmowanych tłumów tryumfatorów dnia i... zdobywców serc pięknych senorit?

Czy bodaj raz w życiu nie oglądał ktoś z zapartym oddechem frapującej akcji filmu, mającego za treść życie, sławę, uśmiechy i troski takiego nowocze-
Ciąg dalszy na str. 10-tej

Fot: Edith Boeck (Sendler)



RZUT OKA NA SZPADĘ
Ostrze szpady winno być zawsze bez zarzutu. Chociaż opiekun torera zajmuje się tą sprawą, Solozano przecież bada bacznie swą broń.

Poniżej:
WARCZY JUŻ MOTOR LIMUZYNY...
Tam dyszy niecierpliwością żądny widowiska tłum... Sławny torero w towarzystwie fechtmistrza, dźwigającego pokrowiec z bronią, udaje się na miejsce zapasów.



Na prawo:
SOLOZANO, SŁAWNY TORERO, UBIERA SIĘ DO WALKI
Niby „panna garderobiana" pomaga mu manager przy wdziewaniu obcisłego kostiumu.





Poniżej:
WSPOMNIENIA MAJĄ MOC CZYNU...
Myśl torera biegnie ku dawnym dniom tryumfów... Ileż zwycięstw mają za sobą szpady słynnego torera, złożone pieczołowicie w futerałach z godłem: Solozano!



Poniżej na lewo:
PRZED OBRAZEM MADONNY
Mały, przenośny ołtarzyk, u stóp którego modli się torero przed walką — jest wyrazem jego wiary i dziecięcej ufności w opiekę Patronki toreadorów.



W kole, poniżej:
W NIEWINNYM POCAŁUNKU TKWI ZADATEK ZWYCIĘSTWA
Pocałunek małej dziewczynki tuż przed walką, w danym wypadku córeczki ulubieńca tłumów, jest według przekonania toreadorów najlepszą wróżbą zwycięstwa.



4. ciąg dalszy

— No to dawajcie.

Otworzyła, przeczytała, uśmiechnęła się znacząco i rzekła:

— No dzieci! Mam dla was wielką nowinę. Niespodziankę. Wasza mamusia jest teraz w Warszawie i chce was do siebie sprowadzić...

— Doskonale! Doskonale — ucieszył się Zbyszek i uszczęśliwiony zaczął skakać na jednej nodze po całym pokoju.

Ale Zaza skrzywiła się sceptycznie.

— A bo to tatuś pozwoli nam jechać — powątpiewała.

— Też głupia — obruszył się malec. — Dlaczegóż by nie miał pozwolić? Ja chcę mamusię zobaczyć, więc z pewnością pozwoli!

Miał wielką ochotę przejechać się do Warszawy.

— A czy kolomotywą pojedziemy — dopytywała się mała Gola.

Gdy tatuś powrócił z pola ciocia Tunia kiwnęła na niego i oboje przeszli do salonu.

Naradzali się, a dzieci, bardzo niespokojne i podniecone, podbiegały co chwila na paluszkach pod zamknięte drzwi i z bijącymi serduszkami podsłuchiwały rezultatu tej konferencji.

Tatuś mówił:

— Nie, nie! Dajżeż mi święty spokój. Nie mam żadnego zamiaru posyłać dzieci do Warszawy. Potrzebne one tam, jak dziura w moście. Odwykły, chwała Bogu, od matki, więc po co te komedie...

— Ależ Jasiu! Zastanów się, proszę, nie masz prawa zabronić matce uściskania swych dzieci...

— Już ci nieraz mówiłem co o tym myślę, ale się nie upieram. Jeżeli uważasz, że należy dzieci posłać, to się je pośle. Ustępuję, ale wiedz, że tylko dla ciebie to robię...

— Dziękuję ci, więc może zawiozę je jutro...

— Aby tylko nie ty. Na to żebyś ty z dziećmi jechała stanowczo się nie zgadzam. Nie chcę tych waszych babskich plotek, opowiadań, konszachtów... Jeżeli dzieci mają już jechać koniecznie, to panna Lili je zawiezie.

— Będę bardzo niespokojna. Ona jest zawsze taka roztargniona, zawsze taka sobą zajęta. A miasto duże. Ruch. Samochody. Tramwaje...

Tatuś roześmiał się.

— Dziwactwo! Nic im się nie stanie.

I dodał po chwili:

— Już to zauważyłem nie od dzisiaj, że panna Lili nie jest w łaskach u ciebie.

— Nie widzę racji zachwycać się nią. Niedbała, histeryczka... Zresztą co o tym mówić... Nie jestem mężczyzną.

— Jakieś złośliwe aluzje — wzruszył pan Jan ramionami. — Ale bądź spokojna, że i ja również bynajmniej się nią nie zachwycam.

— Wygląda inaczej.

— No bo — jakżeż ci to powiedzieć — w tych nudach na wsi można by się w krowie zakochać.

Zapalił papierosa.

— Ale odbiegliśmy od tematu. Przyznaję, że ciągle się waham. Posłać, nie posłać.

— Ale ja bardzo przy swoim obstaję. Dzieci powinny jechać.

— No dobrze już, dobrze. Jak się przy czymś uprzesz, to byś dziurę w brzuchu potrafiła wygadać. Pal diabli, niech jadą.

— Jedziemy! Jedziemy — biegał Zbyszek jak wariat po całym domu, a wieczorem miał trochę gorączki.

Kręcił się, wiercił na swym łóżeczku. Doczekać się nie mógł tej upragnionej chwili wyjazdu.

Panna Lili też była podniecona perspektywą przejażdżki.

— Tak się już za Warszawą stęskniłam. Będę mogła porobić sprawunki. Tutaj, w tej dziurze na wsi, wydarłam się ze wszystkiego. Nawet nie wiem jakie kapelusze są teraz modne... Włosy też muszę doprowadzić do porządku. Odrastają ciemne i rozfryzowują się całkiem.

A na wsiadanem do powozu, gdy tatuś wręczył jej pieniądze na tę podróż szybko przerachowała podany sobie zwitek banknotów, skrzywiła się i rzekła:

— Mój Boże! Tak skąpo mi pan daje, a chciałam sobie sprawić elegancką jedwabną pidżamę. Perfumy też mi potrzebne, a widzę, że nie będę mogła...

No i tatuś natychmiast sięgnął do kieszeni marynarki, wydobył pulares i dodał jej co było potrzebne.

Dawał jej także instrukcje:

— Przyjedziecie wcześnie, około dziesiątej, więc będzie pani miała masę czasu na porobienie sprawunków. O pierwszej zaprowadzi pani dzieciaki na obiad do jakiejkolwiek porządnej restauracji, a około trzeciej zgłosi się pani do hotelu. Ale proszę się tam za długo nie zasiadywać. Niepotrzeba. Najwyżej jakieś dwie godziny... O ósmej proszę być z powrotem na stacji. Wpakuje pani dzieci do pociągu i tutaj powrócicie. Konie będą na was czekać.

Zaza rzuciła się ojcu na szyję.

— Tak strasznie tatusia kocham — szeptała. — Chciałabym nigdy od tatusia nie odjeżdżać.

— No dobrze już! Dobrze — niecierpliwił się — nie ma już czasu na sentymenty. Siadajcie i jedźcie.

W WARSZAWIE

— Pośpieszaj, pośpieszaj — szarpała bona małą Golę za rączkę. — Utrapienie z tym bachorem! Nawet połowy sprawunków jeszcze nie załatwiłam, a ta maruda, jak na złość, lezie jak ślimak.

Dziecko przemęczone parogodzinnym włóczeniem się po sklepach rozpłakało się.

— Masz tobie! Teraz beki. Nie mazgaj się, głupia! Zamilcz — tupała nogami panna Lili. — Cóż za nieznośna smarkata. Sprzedam cię kominiarzowi.

Beki się wzmogły, więc dostała klapsa.

— Masz! Nie kapryś. A tamte pędzą ulicą na złamany łeb i nawet się nie obejrzą.

— Zaza! Zaza! — wrzeszczała na całe gardło aż ludzie przystawali po trotuarach. Wróć się! Wróć! Ty wariatko. Muszę tu wstąpić do perfumerii.

W drzwiach sklepu jakaś starsza siwogłowa pani przystanęła i wykrzyknęła:

— Cóż za prześliczne dzieciaki z tymi długimi złotymi lokami! Czy to są trzy dziewczynki?

Też głupie pytanie. Zbyszek, bardzo obrażony, wywalił język na pytającą.

Zaza go nabeształa.

— Ależ urwis! Ależ niegrzeczny — przepraszała nieznajomą panią.

Około pierwszej Zbyszek przystanął przy witrynie jakiejś dużej wędliniarni. Oblizywał się, wskazywał palcem na wystawę i zaczął narzekać, że jest bardzo głodny i że chce iść na obiad do jakiej restauracji.

— Przecież tatuś tak kazał — przypominał bonie jej obowiązki.

— Później, później. Teraz jeszcze za wcześnie.

Panna Lili miała jeszcze bardzo wiele niezałatwionych sprawunków, poza tym wolała słodycze, więc po dłuższym łażeniu po mieście osądziła, że lepiej będzie pójść do cukierni.

— Nażrecie się babek z kremem po uszy i będzie spokój...

No i po chwili cała gromadka zasiadła w cukierni przy marmurowym stoliku.

— Siedźcie tu dzieci spokojnie i czekajcie na mnie cierpliwie. Muszę iść obok, tam do pokoju, i zatelefonować.

— Nie kop się — strofowała Zaza braciszka, który przebierał nogami pod stołem jak garncarz.

Gola skrzywiła się gdy garson postawił przed nią szklankę lemoniady. Nie lubiła jej. Chorowała po lemoniadzie, ale bona już o tym nie pamiętała.

— Dla niej kawę — dysponowała Zaza i obstalowała masę ciastek dla wszystkich.

Po dłuższej chwili panna Lili powróciła zadowolona i uśmiechnięta. Stelefonowała się ze znajomym sobie młodym telegrafistą, który obiecał wpaść za chwilę do cukierni, więc różowała się, czerniła i pudrowała na wielki gwałt.

— Ja też chciałabym się wyróżować — napierała się Zaza. — Ja też chciałabym się podobać.

Telegrafista zjawił się wkrótce. Był to młodzieniec poniżej lat dwudziestu, rudy jak wiewiórka i obsypany piegami niczym indycze jajo. Miał na sobie rodzaj munduru z mnóstwem wypustek i srebrnych guziczków, które bardzo zaimponowały Zbyszkowi. Zasypywał go więc pytaniami.

— Nie naprzykrzaj się panu — łajała go bona. — Nieznośne chłopaczysko. Nawet spokojnie porozmawiać nie można. Ciągle ten urwis musi wtrącać swoje trzy grosze.

I pochylając się czule nad swoim towarzyszem długo, długo ze sobą szeptali.

Nagle mała Gola skrzywiła się, jęknęła i zaczęła wymiotować. Przejadła się ciastek.

— To świnia dopiero — rzuciła się do niej bona z pięściami. — Tego mi jeszcze brakło...

Zerwała się od stolika, pociągnęła za sobą piegowatego młodzieńca i wyszła na werandę, a Zazie rozkazała posprzątać, powycierać i doprowadzić chore dziecko do porządku.

WIZYTA

— Puk, puk, puk — stukała panna Lili, około wpół do piątej, do drzwi hotelowego numeru.

Zasiedziała się za długo w cukierni, a matka, oczekująca na swe tak dawno niewidziane dzieciaki, wzburzona była tym opóźnieniem.

— Proszę — ozwał się z wnętrza pokoju zemocjonowany kobiecy głos.

Więc trójka dzieciaków, w czerwonych berecikach, popychana za ramiona przez bonę, bardzo nieśmiało wpałoczyła się do numeru.

Strojna, wymalowana pani — z mnóstwem klekocących paciorków na szyi, w szkarłatnej jedwabnej sukni i z obnażonymi powyżej łokcia ramionami — zerwała się z kanapy i rzuciła się do dzieci.

— Nareszcie, nareszcie — powtarzała zdławionym emocją głosem, wyściskując je kolejno.

Łzy miała w oczach.

— A tak się już niepokoiłam — mówiła, obrzucając pannę Lili bardzo krytycznym wzrokiem. — Cóż to takiego? Miały być u mnie o trzeciej...

Po chwili otarła oczy silnie uperfumowaną koronkową chusteczką, usiadła z powrotem na kanapie, wzięła ze stolika swe szyldkretowe face-a-main i długo, długo przyglądała się dzieciom.

Stały przed nią jak na cenzurowanym. Onieśmielone, zażenowane, milczące i z główkami nisko opuszczonymi na piersi.

— Ależ porosły! Zdumiewające. Zaza jest już całkiem duża panienka. Zbyszkowi też chyba z pół łokcia przybyło, a Goli nigdy bym nie poznała... Gdy wyjeżdżałam była ot tycia... tyla... Łaziła jeszcze na czworakach...

. . . .

— A jak okropnie poubierane! Wyglądają jak ekonomskie bachory. Żadnego szyku. Żadnego doboru kolorów. Czyż można tak dzieci oszpecać...

. . . .

— Tak, tak! Poznaję w tym gust Tuni. Zacna dusza z kościami, ale nigdy nie umiała się ubrać. Wisiało wszystko na niej jak na psie. Można ją było zawsze wziąć za popadię...

. . . .

— Ale dlaczego te dzieci są takie bez humoru? Zażenowane, osowiałe, milczące... To nie jest naturalne w ich wieku...

. . . .

— No Zbyszek! Główka do góry! Spójrz na mamusię i odezwij się! Nie poznaję cię. Zawsze byłeś taki wygadany, taki krzykliwy...

. . . .

— Zaza też jakaś nieswoja. Naburmuszona, nadąsana... Zachodzę w głowę co się tym dzieciom stało?

I zwróciła się do panny Lili, której nawet nie poprosiła usiąść.

— Czy one są teraz zawsze takie jakieś nieśmiałe, takie jakieś zgnębione, takie jakieś smutne?

— O nie. Są nieraz bardzo wesołe.

— Więc dlaczego teraz?

— Są onieśmielone.

— Czyż to możliwe? To bardzo nieładnie. Z mamusią trzeba być swobodnymi, naturalnymi.

. . . .

— Goluniu! Ty moja maleńka. Pokaż no starszym, że cię mamusia nie onieśmiela i chodź tu do mnie na kolana. Niechaj cię dobrze wyściskam.

. . . .

— Co? Nie chcesz? Przecież ja nie jestem obcą panią, a twoją mamusią, która cię kocha nad życie...

. . . .

— No i czegóż beczysz i uciekasz do bony? Okropność pomyśleć, jakie te dzieci zrobiły się obojętne, bez serca... Czyżbyście mnie już zapomniały w tak krótkim czasie? A ja ciągle o was myślałam... Ciągle... Ciągle...

Odłożyła face-a-main, westchnęła i rzekła:

— No trudno! Trzeba się z tym pogodzić. Uparły się nic nie mówić.

Powstała z kanapy, pogładziła dłonią swą strojną szkarłatną suknię, zadzwoniła na numerowego i znowu zwróciła się do bony:

— Obstalowałam dla dzieci podwieczorek, więc proszę pozdejmować z dzieci czapeczki i paltociki. Przy ciasteczkach i karmelkach może nabiorą humoru. Ośmielą się. Rozchmurzą... rozgadają...

JESZCZE NIETOPERZ

Rozchmurzyły się.

Zbyszek — po paru łykach czekolady — z wytężoną uwagą zaczął się rozglądać po całym pokoju.

Zaza kopnęła go nogą pod stołem.

— Nie gap się tak — szepnęła mu na ucho.

— A bo jestem strasznie ciekawy! Czy nie wiesz przypadkiem gdzie on siedzi? Nigdzie go jakoś nie widzę.

Mamusia pocałowała go w główkę.

— Tak to lubię — uśmiechnęła się. — Na koniec coś przemówiłeś, a myślałam, że jesteś niemową. Dobre, kochane dzieciaki, ale bardzo was proszę nie szepczcie pomiędzy sobą, a mówcie przy mamusi głośno i śmiało. Mamusia będzie uszczęśliwiona. Wytłumaczy. Objaśni. O co, syneczku, pytałeś się Zazy?

— Pytałem się gdzie mamusia trzyma tego swego gacha, bo chciałbym go widzieć — wybełkotał malec, napychając sobie buzię petit-fourem.

Strojna pani pochyliła się nad chłopczykiem.

— Co on mówi? Nic nie mogę zrozumieć. Szepleni tak jakoś niewyraźnie. Wpierw przełknij ciasteczko zanim zaczniesz mówić! Zaza, dziecko drogie, może ty zrozumiałaś. Kogo on chce widzieć? O kogo on się pyta?

— O nietoperza.

— Jeszcze mniej rozumiem. O jakiego nietoperza?

— O tego co go mamusia u siebie trzyma.

— Cóż to za jakieś brednie. Poznaję w tym głupie żarciki

Jutro!...

Jutro będzie dzień cudny Jadzieńko kochana —
księżyc srebrem jaśnieje w złotych gwiazd topieli,
— pójdziemy na wędrówkę od samego rana
i będziemy świat cały na swą radość dzielić!

Pojedziemy nad Wisłę, wpatrzymy się w fale,
— może nam jakąś bajką woda się rozszumi —
popłyniemy z nią razem w szmaragdowe
„d a l e j“!...
Wisła jest bardzo stara, wiele bajek umie.

Potem pójdziemy sobie do lasu Jadzieńko,
tam wiatr liście kołysze w słonecznej beztrosce —
— rzucimy mu się w skrzydła wesołą piosenką
i pofruniemy z szumem w zieleni manowce.

Zagubimy się w cieniach na mchu rozpostartych,
będziemy zbierać blaski kwitnące wśród liści,
aż zbłądziwszy z dróg leśnych i ścieżek utartych
roześmiejemy się głośno, wesoło, srebrzyście!

Jak dzieci spleciem dłonie by biegać i śpiewać,
stracić oddech w poszumie przestrzeni bez końca,
wtulać twarze w paprocie, obejmować drzewa
i swą radość promienną rozsiewać jak słońce!

A potem — gdy mnie Jadzia grzeczniutko
poprosi —
pójdziemy przez wąziutkie krasnoludków ścieżki,
aż znajdziemy gdzieś domek Jasia i Małgosi
i usłyszymy cichy śpiew królewny Śnieżki.

Aż gdy blaski się w cieniów bezgłębi rozpłyną,
i szmery się rozszepczą pod liściastą strzechą,
przystroimy swe głowy czerwoną kaliną
i pożegnamy drzewa radością i śmiechem.

Ty będziesz miała w włosy kwiat paproci wpięty,
ja będę niósł do domu słońca pełne ręce!...
— Na blasku Mlecznej Drogi w srebrny szlak
zaklętej
rozdzwoni się nasz powrót w weselnej piosence.

— — — — — — — — — —

Jutro będzie dzień cudny Jadzieńko kochana —
księżyc srebrem jaśnieje w złotych gwiazd topieli,
a dziś — niech ci sen cudny — nim zapachnie rano —
najpiękniejsze swe bajki na sercu rozścieli.

Bronisław Król

waszego ojca, lecz mogę cię zapewnić, że żadnego nietoperza nigdy u mnie nie było i nie ma.

Ale Zaza zaprzeczyła potrząśnięciem głowy.

— Jest — oznajmiła kategorycznie. — My wiemy, że jest.

— Jakieś kłamstwa...

Dziewczynka zaperzyła się.

— Nie żadne kłamstwa, a prawda — wykrzyknęła. — Tatuś nigdy nie kłamie. Tatuś zawsze mówi prawdę. A tatuś powiedział, że jak tylko mamusia znalazła sobie gacha, to o nas od razu zapomniała.

Strojna pani przygryzła wargi. Odwróciła się do lustra i długo, długo poprawiała loki nad czołem.

Stanowczo wolała gdy dzieci były mniej wygadane.

NIEZNOŚNY BACHOR

— Ale dlaczegóż to Golunia nie pije swej czekolady — zauważyła mamusia po dłuższym mizdrzeniu się przed lustrem.

— Bo ona nie ma apetytu — odpowiedziała panna Lili.

Nie chciała się przyznać, że trzymała dzieci w cukierni przez całe popołudnie i że mała Gola — opchana słodyczami — rozchorowała się.

Mamusia zaniepokoiła się.

— Czy może jest niezdrowa?

— Zdrowa.

— Może na diecie?

— Wcale...

— No to dlaczegóż nie ma apetytu. Dlaczegóż nie pije tak wybornej czekolady z pianką kremową?

I pochyliła się nad dzieckiem.

— Goluniu kochanie nie można tak grymasić. Trzeba jeść to co ci dają. Wypij, wypij swą czekoladę. Nie krzyw się tak brzydko, a skosztuj — mówiła, podając gęsty mdły napój do ust dziewczynki.

— Nie fcę...

— Nie upieraj się. Wypij...

Ale mała, szorstkim ruchem, odepchnęła łokciem swą filiżankę.

Chlupnęło.

— Ach mój Boże! Co też ona wyrabia? Nieznośny bachor. Ochlapała mi całą suknię... Już się niczem nie da wywabić tych plam, a taki kosztowny materiał.

Przytupywała mamusia obiema nogami ze złością i jeszcze narzekała:

— Taka strata! Taka strata! Cóż za niegrzeczna smarkata? Mam ochotę dać jej porządnego klapsa.

Na te słowa mała Gola ryknęła wielkim płaczem ze strachu, a Zaza — spoglądając z oburzeniem na matkę, objęła rozbeczaną siostrzyczkę czule za szyję.

— Ja nie dam bić Goli — mruknęła pod nosem.

Strojna pani oburzyła się.

— Cóż to takiego? Opamiętaj się Zaza — wykrzyknęła. — Tak zupełnie wygląda, jak gdybym chciała was katować. A chyba przyznasz, że nigdy was nie uderzyłam i teraz również nie miałam żadnego zamiaru bić Goli.

— Ja tam nie wiem.

— Ale jak ci mówię, to powinnaś mi wierzyć. Okropność. Wprost nie poznaję własnych dzieci. Nabuntowane. Wrogie.

Nerwowymi krokami zaczęła chodzić po pokoju od okna do drzwi, od drzwi do okna i mówiła dalej:

— Widzę w tym robotę kochanego ojczulka, ale zmieni się to z czasem, zmieni... Musi się zmienić.

Zamyśliła się i po dłuższej chwili zwróciła się do bony.

— Niech pani dwoje młodszych dzieci zabierze gdziekolwiek na miasto. Najlepiej na spacer do parku. Ma pani niedaleko, a Zaza niechaj ze mną zostanie. Ona juz wiele, wiele rozumie, więc tak w cztery oczy...

— Ale ja bym wolała iść z panną Lili na spacer — skrzywiła się Zaza.

— O zdanie twoje nikt się tutaj nie pyta. Zrobisz tak jak ci każę. Zostaniesz ze mną.

— A kiedyż mam po nią wrócić — spytała się bona. — Przecież mam nakazane być z dziećmi około ósmej na stacji kolejowej.

I obie kobiety zmierzyły się wrogim spojrzeniem od stóp do głów.

— Czyż to jest bona moich dzieci — pomyślała strojna pani. — Te utlenione włosy, ta wymalowana gęba! Wygląda na ostatnią z ostatnich... Ale Jaś zawsze miał pociąg do czupiradeł...

A bona pomyślała:

— Nie ty wiarołomna i wystrojona lafiryndo będziesz mi tutaj imponować...

Mamusia rzuciła okiem na swą bransoletkę z zegarkiem.

— Przecież do ósmej ma pani świat czasu.

PAZDURSCY

Po wyjeździe dzieci ciocia Tunia i Walerka zabrały się do sprzątania w dziecinnym pokoju.

— Sodoma! Gomora! — utyskiwała pokojówka. — Żeby się dziesięć rąk miało, to jeszcze by nie dał rady.

Zaglądała do szuflad komody.

— Niech no pani popatrzy co tutaj za nieład — mówiła. — Już takiej drugiej flądry jak ta panna Lili, to i na całym świecie, jak wielgi, nie znajdzie. Ale cóż? Wymalowana buziuchna panu dziedzicowi coś za bardzo do gustu przypadła.

— Zostaw swoje uwagi dla siebie. Nie jestem ich ciekawa.

— A bo pani jakby nic nie wiedziała co się dzieje tutaj po nocach. Zgorszenie i obraza boska.

Może Tunia wiedziała, lecz trudno jej było poruszać tę kwestię.

— Jest panem u siebie, a ja mogę mu być tylko wdzięczna. Dał mi schronisko w swym domu wtedy gdy bezdomna i osierociała nie miałam gdzie się podziać.

Tego samego dnia, powracając z południowego udoju, weszła do kancelarii.

— Czy wiesz co się stało w leśniczówce u Pazdurskiego — rzekła do siedzącego przy biurku pana Jana. — Ludzie mówią, że Tereska uciekła od męża.

— Nie dziwiłbym się wcale. Taki potwór pod każdym względem. Ale skąd ta wiadomość — zainteresował się.

— Fornal przyjechał z drzewem i naopowiadać się nie może. Podobno tam było u nich nieustające piekło. Ona męża znosić nie mogła, a on zakochał się w niej i katował niemiłosiernie za stawiany opór.

— Wiedziałem o tym. Nieraz spotykałem Tereskę w zagajniku i nie taiła przede mną swej nienawiści do męża. A także pokazywała mi nieraz swe posiniaczone uda i plecy...

— Bo też pojąć nie mogę, że miałeś sumienie skojarzyć to małżeństwo...

Roześmiał się.

— Zaraz „sumienie" i wielkie frazesy. A cóż miałem robić? Trzeba mi było koniecznie wypchnąć gdzieś tę Tereskę. Robiła się coraz niemożliwsza. Nahalna, pełna pretensji.

— Dziwisz się?

— No, nie dziwię — przyznał i zapytał. — A czy wiadomo dokąd ona uciekła?

— Nie wiadomo. Jedni mówią, ze widziano ją o świcie na przystanku kolejowym, a inni twierdzą, że ją spotkali nad rzeką. Wyglądała coś jakby niespełna rozumu, więc obawiam się, że gotowa coś sobie zrobić z desperacji.

Żachnął się.

— Cóż znowu? — wykrzyknął. — O to jestem całkiem spokojny. Nieraz z nią rozmawiałem. Dziewczyna pobożna, głęboko wierząca... A także przywiązana była do życia jak mało kto.

Rozsiadł się wygodnie za biurkiem, zapalił papierosa i puszczał dym w kółka.

Był zamyślony.

— Taka śliczna dziewczyna...

I spytał po chwili:

— A cóż Szymon na to?

— Szuka jej i odgraża się, że jak łapę na niej położy, to ją zamorduje. Ale ludzie mówią, że więcej mu chodzi o krowę jak o kobietę.

— Co mówisz? Więc krowę ze sobą zabrała?

— Wcale nie zabrała. A zabiła. Pasierby opowiadają, że miała jakoby do nich powiedzieć: — Ani moja nie będzie, ani jego nie będzie! — Wzięła siekierę i weszła do obórki.

— Ależ zawzięta kobiecina.

Zawahał się chwilę i spytał:

— A czy nie wiesz przypadkiem co zrobiła ze swoim dzieckiem?

— Zabrała ze sobą. A także podpatrzyła gdzie Pazdurski chowa pieniądze i okradła go doszczętnie.

Nastało dłuższe milczenie. Oboje zamyślili się.

Może pan Jan miał pewne wyrzuty sumienia. Nie był złym człowiekiem, tylko niesłychanie lekkomyślnym, zaś Tunia przypomniała sobie swą ranną rozmowę z Walerką.

Trudno! Trzeba coś o tym powiedzieć, więc odezwała się w końcu:

— Nie chcę cię, Jasiu, irytować, drażnić, ale radzę ci uważaj. Nie zagalopuj się za daleko, żeby z panną Lili nie było tego samego co z tą nieszczęsną Tereską.

Wzruszył ramionami.

— Nie kłopocz się o to! — odezwał się z ironią. — Że też to wy, kobiety, zawsze lubicie się wtrącać w nie swoje rzeczy.

Cóż na to odpowiedzieć?

TELEFON

— Drynn, drynn, drynn — drynn, drynn, drynn — dzwonił uparcie telefon w kancelarii już od kwadransa.

Była siódma wieczór i Walerka nakrywała do kolacji w stołowym pokoju.

Dokończenie nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

ECHO

Żadna to zemsta,
że trwa nad głową spór wilg
i zderzają się z czołem
tłuste, oślepłe ćmy,
że liście pachną wilgocią,
stąpienie nogą jest chrzęstem —
to tylko zwyczajna samotność
dusząca, jak dym.

Poczekać! Wnet będzie bezsilną
na przekór ćmom wszystkim i wilgom.
Samotność? — Pajęcza nitka.
Ha-lin-ko! — —
— — Ha-lin-ko!

Na próżno! Za nią echo podrzeźnia.
Hałasuje, chichoce wierny lasu pachołek
i ćmy niechude naoślep popycha
zderzać się z czołem.

Bolesław Michał Soczyński

SEN

Ranny brzask zastawał prawie zawsze panią Jadzię pogrążoną w głębokim śnie. Dobrze po ósmej budziła się ociężała i bezwładna. Start dzienny względnie codzienny chromał, podobnie jak wieczorne lądowanie, właśnie w chwili, gdy czuła się pełna animuszu.

Po prostu jej doba samopoczucia była w kolizji z dobą zegara. Naturalnie były odchylenia, czasem wyrównania, na ogół jednak występowały kaprysy snu.

To było czasami nawet interesujące. Systematyczny i jednostajny tryb życia pani Jadzi dławił ją nieraz wobec braku możności zmiany wrażeń. Przynajmniej więc w tej dziedzinie, gdzie rzeczywistość i marzenia senne stale przekraczały linię demarkacyjną, czuła pewnego rodzaju odprężenie psychiczne, aczkolwiek specjalnie nie studiowała „Teorii snów."

Była jednak zdecydowana przeżyć noc ciekawie, to znaczy śnić pięknie. Czasem udawało jej się to nad podziw. I było tak niekosztowne i tak osobiste, że śmiała się z tych ludzi, którzy skracają sobie godziny snu oszałamiając się alkoholem, beznadziejną rozmową, lub przymusowym towarzystwem, które od czasu do czasu nas raczy, a nie rozrywa.

Jednego razu ciekawy sen specjalnie utkwił w pamięci pani Jadzi, a było to tak:

Poprzedniego wieczoru wróciła z przyjęcia, w którym przeważały panie i mimo ciętości języka i oryginalności konwersacji, była pani Jadzia tym razem wyjątkowo milcząca, ale i pełna krytycznego nastawienia. Tematy rozmowy były tak błahe, nie rzeczowe, ani dowcipne, nieskoncentrowane i szablonowe, że określała swój pobyt na przyjęciu, jako specjalne godzin nudy i w ogóle uważała ten czas za stracony. Bo ostatecznie nie zdobyła ani grama przyjemności, a czuła, że jej własny sąd byłby głosem wołającego na puszczy, nie miała zaś ochoty ponoszenia trudu bawienia nieciekawego towarzystwa.

O czym mówiono? Po kolei i na przemian: plotki, sprawy miłosne, lekka beletrystyka, kwestie kulinarne i służby, przy czym każda z pań gwałtownie wysuwała na forum swoje własne „ja" z obawy, aby środek ciężkości nie przesunął się w danym momencie na inną.

Pani Jadzia wróciwszy o 10-tej godzinie przejrzała się w lustrze i sama sobie zakomunikowała.

— Mogłabym pozować do apoteozy beznadziejności. Uf, że też skusiłam się na ten babski czomber.

W mig była rozebrana, parę ćwiczeń gimnastycznych orzeźwiło ją i wsunąwszy się pod łososiową kołderkę postanowiła jak najprędzej zabić snem tkwiące w niej dotąd uczucie nudy.

W pokoju było zupełnie ciemno. Jakaś zapóźniona wrona zakrakała pod oknem. A może to była sowa z pobliskiego lasku? Zapadający w sen umysł pani Jadzi nie silił się na rozwiązywanie tego problemu. Asocjacje jednak sowy i lasku sprowadziły panią Jadzię w ciemną jodłową aleję. Kontury drzew były ciemniejsze niż bezświetlna noc. Pachło żywicą i leśnymi fiołkami. Gałęzie chwiały się lekko, a szelest ich brzmiał jak nocna pogwarka drzew. Poza tym cudowna cisza i ten zapach.

Pani Jadzia nie umiała określić, skąd i po co jest w tym lesie. Opadła na mech i zdawało jej się, że kołysze się w takt barkaroli:

Nocy słodsza niźli dzień,
Ty dla nas wiecznie trwaj.
Wietrzyku pieść i całuj nas.

Nagle zabłysło coś między drzewami. Znikło i znów. Wtem rzędem, niby latarki powstawiane między pnie drzew, ukazały się po dwa światełka.

Rosły gwałtownie, stały się ruchliwe. W końcu to wszystko zamieniło się w sowie oczy. Zimny pot oblał panią Jadzię. Przymrużyła powieki i skuliła się na mchu. Nie znosiła głosu sów i dziwiła ją ich milcząca straż. Ostrożnie otworzyła oczy — i o dziwo! — Znalazła się na polanie. Lekki odblask wschodzącego księżyca stonował otaczające ją zielenie, a przed nią spacerowały sowy, z powagą i dystynkcją pingwinów. Patrzyła w osłupieniu. Sowy zaszły na przeciwległy róg polanki, rozsiadły się i naraz pani Jadzia „ze zdumieniem stwierdziła, że z każdego ptaka wyłania się znana jej twarz kobieca.

O ta na lewo, jasna blondynka ze zmanierowanym głosem, w zielonym jedwabnym fraczku. Zasłania ją gałąź świerku, ale włosy lśnią złotawym odblaskiem.

Obok kędzierzawa brunetka o wyłupiastych oczach, wciąż podobna do sowy.

Naprzeciw pełna zmysłowego uśmiechu księżycowata, półtępa twarz z rozwichrzonymi włosami.

I jeszcze, regularne, a ponure oblicze nerwowej szatynki. Reszta całkiem w cieniu.

— Co to będzie? — myśli pani Jadzia, — balet czy sabat czarownic, jakoże czarują?

Twarze bladły, sylwetki w cieniu nocy dziwnie zmieniały kształty, aż tu zza drzew zamiast pań pojawiły się w marszu: rajski ptak i sowa, papuga i czapla.

Ta ostatnia kiwała protekcyjnie głową nad głośno rozbrzmiałym świergotem pozostałego ptasiego tercetu.

Pochód zamykały cztery pingwiny.

Wyglądało to tak komicznie, że pani Jadzia roześmiała się głośno.

Ptaki stanęły. W lesie zrobiło się jasno. Czapla podeszła ku pani Jadzi, a pingwiny ukryły się z resztą za jałowcem.

Czapla podniosła nogę w górę, pani Jadzia odsunęła się. Poczuła jednak na swej ręce drapieżny uścisk, przetarła oczy — i widzi.

Jest rano, pokój w pełnym świetle. Przy łóżku stoi bohaterka wczorajszego przyjęcia rozbawiona pani Ewa i mówi:

— Śmiałaś się tak głośno, że odważyłam się czekać, aż się zbudzisz. Byłaś wczoraj tak ponura, że bałam się, że jesteś chora. Przyznaj się jednak do tego romansu we śnie.

Pani Jadzia roześmiała się srebrzyście i zawołała:

— Cudowne były te pingwiny i sowy, ale do mnie podeszła tylko czapla.

E. Herde

CZAR MELODII

IRENA GĘBSKA

Ostatnie dźwięki wzbiły się perlistą kaskadą w górę, zawirowały nad głowami słuchaczy niby rój barwnych motyli i wtuliły się gdzieś w girlandy wieńców. Burza szalonych, pijanych zachwytem oklasków runęła na scenę, do stóp mistrza. A on wstał od fortepianu wysmukły, elegancki, uśmiechem i skinieniem głowy odpowiadając na entuzjazm tłumu. Jeszcze jeden ukłon i znikł za kulisami.

Iza przymknęła oczy, a w koło niej tłum krzyczał, nie, wył poprostu: Rafini! Rafini! Ścisnęła w drobnych dłoniach wiązankę róż. To dla niego. Och, żeby pokazał się raz jeszcze! Dziś jest dopiero trzeci jego występ, a już czarem swej muzyki potrafił podbić serca wszystkich. Wielkie, szare oczy Izy płonęły gorączkowym blaskiem. Zerwała się i wybiegła z sali.

Przed gmachem teatru czekała limuzyna Rafini'ego. On szedł właśnie ku niej wśród ryczącego, oszalałego tłumu. Nie był wysoki, ale jak dumnie niósł swą ciemną, kędzierzawą głowę, o skroniach przyprószonych już nieco siwizną. Zachwycający, trochę ironiczny uśmiech błąkał mu się po wargach.

Iza szybkim ruchem smukłego, wysportowanego ciała przecisnęła się wśród ludzi do drzwiczek.

— Mistrzu — głos uwiązł jej w gardle, a białe róże w dłoni zadrżały. — Mistrzu, proszę przyjąć te kwiaty... To za muzykę, za ten czar... za wszystko...

Przez mgnienie oka wzrok Rafini'ego spoczął na jej młodocianej postaci, na drobnej, spłonionej rumieńcem twarzyczce i szarych, zachwyconych oczach.

— Przyjmuję — rzekł niskim, dźwięcznym głosem. — A teraz może mi pani zrobi ten zaszczyt i pozwoli odwieźć się do domu. Ja proszę, bardzo proszę...

Czy to sen, czy jawa? O, Boże, co za szczęście szalone! Ten pęd, warkot motoru i on, mistrz, tuż obok z twarzą pochyloną nad pękiem białych róż.

*

Mrok otulał już miasto. Iza szła szybko ulicami. Śpieszyła do pani Marii. Jeszcze jedna ulica, brama i schody... schody. Przystanęła w małym mieszkanku na poddaszu. Było tu pusto, tylko mrok rozgościł się po wszystkich kątach. Pani Maria nie wróciła jeszcze z pracy. Na podłodze bawiła się mała Basia, dzikie, nieufne, skryte stworzenie. Nawet na widok Izy nie rozpogodziła się drobna buzia i chmurne oczy. Basia nie uznawała nikogo oprócz swej matki, za którą nie widziała świata.

Iza wsunęła się w stary fotel obok czarnego, zniszczonego już fortepianu, jedynej pamiątki z lepszych może czasów. To dziwne, że ona, córka bogatego dyrektora lgnęła tak bardzo do tego ubogiego mieszkanka. Pani Maria była jej najserdeczniejszą przyjaciółką. Iza znała dobrze smutne dzieje jej życia. Zakochała się jako młoda dziewczyna w kawiarnianym grajku. Pobrali się i przez dwa lata w ich małym domku pod bzami mieszkało nadziemskie szczęście. A potem przyszła na świat córeczka. I od tego zaczęło się wszystko. Mąż nie znosił dzieci, nie mógł słuchać płaczu i kwilenia. A zresztą dusza artysty rwała go w świat, do nowego, nieznanego życia. I pewnego dnia znikł... i nie wrócił już więcej.

Iza westchnęła cichutko. Biedna pani Maria... O, tam, w tej szufladzie jest jego zdjęcie. Nie chciała go nigdy pokazać. Izę ogarnęła nagle nieprzezwyciężona ciekawość. Okrzyk niedowierzania zamarł na jej wargach. To przecież on, Rafini! Taki sam, dumny i ironiczny, tylko młodszy i z większą słodyczą w uśmiechu. Więc on był, on jest mężem pani Marii... A to włoskie nazwisko to tylko pseudonim, maska, ułatwienie w zdobyciu sławy. O, Boże, Boże! Nie, nie, to niemożliwe! Ona się przecież tak cieszyła, tak chciała opowiedzieć pani Marii o tej przejażdżce i o tym, że obiecał ją odwiedzić. Był taki cudny, taki... kochany. Młodociane serduszko Izy śpiące dotychczas spokojnie zadrżało po raz pierwszy pod spojrzeniem jego władczych, przejmujących oczu. A teraz... co teraz będzie?

Wyrwał ją z zadumy odgłos kroków i radosny krzyk Basi:

— Mamusia! Mamusia!

Na progu stanęła szczupła postać. Dziecko z głośnym szczebiotem czepiało się jej rąk. Pani Maria ucałowała je i nie rozbierając się usiadła na krześle. W świetle księżyca twarz jej wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle. Z dużych, ciemnych oczu płynęły łzy.

— Mamusiu, czemu płaczesz? Ja nie chcę, nie płacz, mamusiu.

Pani Maria drżącymi palcami gładziła jasne włoski małej.

— Cicho, cicho, Basieńko, to nic, tylko mi tak trochę smutno. Widziałam kogoś, kto kiedyś... dawno...

I nagle porwała dziecko w ramiona i wyszeptała wśród łkań:

— Taka jestem sama, taka strasznie sama! O, jak ciężko jest żyć, jak smutno i źle... Ja już nie mogę cierpieć, już nie chcę, och, czemu nie można zapomnieć?!

W smugach księżyca łzy matki lśniły na włosach dziecka jak perły...

Iza cicho wysunęła się z pokoju.

*

I znów zapadał zmrok. W cichym, pustym mieszkanku pani Marii czekał na nią Rafini. Była wczoraj u niego ta śliczna dziewczyna o szarych oczach i na wszystko w świecie prosiła go, żeby wrócił do żony. Odmalowała jej życie w sposób tak obrazowy i wzruszający, że Rafini przyrzekł uczynić to. I teraz czekał...

Skrzypnęły schody, potem drzwi.

Rafini wstał powoli i podniósł głowę. Przed nim stała jego żona. Czy to ta sama czarująca, zawsze uśmiechnięta Marychna? Skąd się wzięły te dwie bolesne zmarszczki koło ust i tragedia w głębokich, cofniętych oczach?

— Nie poznajesz mnie, Mario?

— Poznaję — szepnęła prawie bezdźwięcznie.

— Przyszedłem, Mario, przyszedłem prosić cię o przebaczenie. Czy pozwolisz mi teraz zostać przy tobie?

Cofnęła się bez słowa i usiadła na otomanie. Więc to jest on, ten za którym tęskniła wśród bezsennych, przepłakanych nocy. Dlaczego teraz taki obcy i daleki?... Czym zapełnić tę przepaść, którą czas między nimi stworzył?

— Henryku, — powiedziała cicho — teraz już za późno. Nasze drogi rozbiegły się. Stałeś się sławny, byłabym ci tylko kulą u nogi. A zresztą po co? To już minęło... i nie wróci...

Umilkła. Wśród nich snuł się mrok i cisza, przesiana promieniami księżyca.

— Dobrze, Mario, pójdę, ale teraz... Czy pozwolisz mi zagrać? Ostatni raz...

Popłynęły ciche, cudne tony. Ich dawna, ulubiona piosenka... Śmieją się struny i płaczą, mówią o szczęściu i tęsknocie, o małym domku pod bzami i pachnących wiosną wieczorach... Śpiewają i pytają:

Czy pamiętasz?...

Opadły palce z klawiszów, a z ust wybiegło to samo pytanie:

Czy pamiętasz?...

W oczach Marii jasne łzy... Zcałowały je wargi mężczyzny.

— Marychno, będziemy razem, wróci szczęście, zobaczysz, powiedziała mi o tym piosenka, czar niezapomnianej melodii.

DO WYBORU DO KOLORU...

Czarny, biały, duży, mały,
Oto pieski cztery,
Że się każdy z nich podoba,
Przyznaj, jeśliś szczery...



Niby lisek popod lasem
Chow-Chow bacznie śledzi,
Jak z gąskami na pastwisku
Marysia się biedzi...



A do figlów zawsze skory
Szpic, przyjaciel dzieci,
Po kąpieli schnie na słonku,
Czysty — aż się świeci.



Opuchnięta jakby „buzia"
Tej tu znowu psiny,
Mimo woli strasznie smutnej
Dodaje mu miny.



Za to mordka Pekińczyka
Pełna jest wyrazu,
Toteż każdy zawadiakę
Pozna z niej od razu!

Ciąg dalszy ze strony 6-tej

snego, by tak rzec, Ursusa, naturalnie w zmienionej rodzimą obyczajowością formie?

...Falujące morze głów, gorące spojrzenia uroczych Hiszpanek, tajemna mowa wachlarzy, błyski światła w zdobnych w klejnoty grzebieniach, w piętych w kruczo-czarne sploty wysokich fryzur, sypki piasek areny, który za chwilę nasiąknie szkarłatem krwi, groza mrożących krew sytuacyj, — szybkich jak błyskawica, jak pchnięcie toreadorskiej szpady...

Igranie zę śmiercią!

Zawrotny, upojny taniec z niebezpieczeństwem, bałwochwalczy ryk widzów, fanfary zwycięstwa, gromowe echo tysięcy braw, deszcz kwiatów ścielących się pod stopy zwycięzcy...

To jedna strona wielkiego widowiska — duma pochwał, mir, ubóstwienie...

A druga strona bytu bohatera?

Może nie mniej interesująca, chociaż nie o tak błyskotliwym podkładzie...

Konkurencyjna zawiść, niecne intrygi, zazdrość o rozgłos i... o serce toreadora.

Kwiaty, rzucone na zryty racicami piasek, powiędną za dzień, za dwa może...

Wstążka, barwy rozkwitłych maków, lekko opadła na arenę tuż u stóp torera, jeszcze pachnąca pocałunkiem dyszących w pożądaniu warg — może być jeno świadectwem nastroju ulotnej chwili, mirażem dalekich pragnień, odruchem zachwytu mijających sekund...

A pomiędzy tymi dwiema stronami życia toreadora wije się powszedni dzień pracy, za kulisami walk biegną minuty bez ułud i blichtru, kołowrót istnienia.

Zaglądnijmy w stronice księgi, gdzie ranek i zmierzch piszą bajkę o tym, którego znają i wielbią wszyscy...

Torero...

Tak jak u pięknej kobiety, mnóstwo guziczków i zapinek składa się na to, by w swym ogromnie skomplikowanym i z wielu części złożonym kostiumie mógł czuć się dobrze i wygodnie...

Wąskie i obcisłe spodnie, przylegająca, niby „ulana" kamizelka, pochodzić muszą z pracowni dobrze ze swym kunsztem obznajomionego mistrza igły, by zadowolić gust bardzo pod tym względem wymagającego toreadora.

Do włosów umocowanym bywa stale przed każdym występem mały warkoczyk z czarnego jedwabiu, będący nie tylko wyrazem tradycji, ale mający również za zadanie stanowić ochronę głowy w razie ewentualnego upadku. Podobnie czapeczkowate nakrycie głowy toreadora ma takiż cel na względzie, dlatego też jest ono lekko wypchane podściółką neutralizującą siłę uderzenia przy padnięciu.

Sławny toreador Solozano, posiada kostiumy we wszelkich możliwych barwach. Kto wie, może w myśl starodawnych wierzeń lub jakichś tajemniczych przepisów swego fachu, przywdziewa on stosownie do danego dnia tygodnia, ubiór takiego a nie innego koloru... Wszak w całym świecie żyje u ludzi zabobon, gra rolę w samopoczuciu przesąd...

Wspaniale prezentuje się szata toreadora z artystycznymi ręcznymi haftami o przebłysku złota i srebra, z lśniącymi świecidełkami i szamerowaniami.

Malutki, domowy, przenośny ołtarzyk ze świętymi obrazami, towarzyszy torerowi wszędzie w jego podróżach na występy czy w kraju, czy za granicę.

Przed każdą walką spędza toreador w skupieniu pewien czas przed wizerunkiem Madonny, patronki i opiekunki dziwnych tych ludzi, z pogardą zaglądających częściej nawet dla sławy niż zysku, choć i ten nie jest najgorszym, co dnia w oczy śmierci, modlących się o szczęśliwy przebieg widowiska i o zwycięstwo...

Niech nam na wargach nie zakwita uśmiech ironii, gdy obok klęcznika rozmodlonego toreadora zoczymy maleńkie zawiniątko, zawierające rodzaj maskotek, boć czyż my lepsi bywamy w naszych przedsięwzięciach i zamierzeniach?

I jeszcze jedno: Pocałunek maleńkiej dziewczynki tuż przed rozpoczęciem walki — to zadatek powodzenia, szczęścia i sławy...

A zaraz po tym wkracza on, bohater dnia na złocisty piasek areny wśród dźwięku trąb i huraganowych fanfar, w melodii marszu toreadorów! Eviva torredo torros! Eviva!...

Stef. Krasiński

III. KONCERT SYMFONICZNY ORKIESTRY FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Pozwalamy sobie porządek zwykły w naszej dzisiejszej recenzji zmienić. Zaczynamy od końcowego numeru programu. Nie dla jakiejś kapryśnej chwilowej zachcianki ale z tego istotnego powodu, że monumentalne dzieło, oderwanie od czasu i wszelakiej kategorii okoliczności, swoimi intymnymi, utajonymi walorami zawsze działa potężnie — pozostawia w głębokościach duszy niełatwo zacierające się wrażenie, które dłuższy czas w swej żywotności trwa — opanowuje lot myśli — nawraca spontanicznie z większą lub mniejszą wyrazistością.

Eroica Beethovena. Bezsprzecznie dobrze się stało, jak czas potwierdził nieomylnym swym osądem, że Eroica ostatnim, intuicyjnym, korrekcyjnym pociągnięciem kompozytora nie została związana (raczej uwolniona została) z jakąś osobistością choćby symboliczną, z jakimś nazwiskiem bohatera, ale stała się bezimienną, niezacieśnioną w swych zasięgowych granicach, ogólnoludzką apoteozą heroizmu — tej świętej, dotąd pełnią żywotności tętniącej idei, która żywo nurtuje w głębnych pokładach psychiki każdego narodu — a może nawet (zaryzykujmy twierdzenie) każdej poszczególnej jednostki. Stąd granica odczuwań piękna i wzniosłości Eroici ogromna, stąd zrozumienie obejmuje zakres omal bez jakichkolwiek granic.

Orkiestra Filharmonii Krakowskiej odegrała Eroicę z niezwykłą starannością i niecodziennym zrozumieniem, płynącym z głębokiego przeświadczenia, że dzieło monumentalne narzuca samo z siebie pewne odpowiedzialne wymagania, którym musi się w całej rozciągłości zadośćuczynić, by mieć zadowolenie wewnętrzne — spełnionego czynu artystycznego. Allegro Eroici, „jakby ulane ze spiżu" w swej zwartości konstrukcyjnej otrzymało wyraz odtwórczy pełny majestatycznego piękna, które przedziwną mocą sączyło się do dusz audytorium, wywołując rozkosz niecodziennego przeżycia estetycznego. Marsz żałobny, zaprezentowany w całej swej potędze, robił wrażenie, że odtworzenie wzbiło się na wysokie szczyty odtwórcze, ze w szacie odtwórczej osięgnięto maximum. Nieskazitelne piękno promieniowało w całej swej monumentalnej pełni. Zdaje się — takie były szepty wśród audytorium — że ta część Eroici była najlepiej odegrana, co w konsekwencji wywołało ogromne wrazenie. Potężne, rzucające kilka jaśniejszych promieni, Finale brzmiało czysto i poprawnie. Publika Eroicę wysłuchała z głębokim skupieniem, z głęboką zadumą artystyczną.

Daleko mniejszym wrażeniem poszczycić się może Uwertura — czy według terminologii powszechnej, współczesnej Gluckowi symfonia — do opery Glucka Albatros. Niezbyt skomplikowany instrumentacyjnie, ten estetyczny manifest operowy z 1769 r., otrzymał umiejętne podkreślenie tych elementów dramatycznych, które rzucał kompozytor propagandowo jako nowość w współczesne życie muzyczne.

Solistą koncertu był skrzypek, Stanisław Mikuszewski. Zaprezentował się tym razem w Spohra koncercie skrzypcowym Nr 8. Kompozytor Spohr był znakomitym w swoim czasie skrzypkiem. W reprodukcjach kładł wielki nacisk na piękny, głęboki, szlachetny ton. Skomponował 15 koncertów skrzypcowych, dających szerokie pole do popisania się techniką. Koncert Nr 8 (Gesangszene) owiewa tchnienie romantyczne. Koncert Spohra dał Mikuszewskiemu sporo sposobności do ujawnienia inklinacyj czy niuansów talentu odtwórczego. Wymagania koncertu harmonizowały omal zupełnie z typem gry Mikuszewskiego. Ton skrzypiec miękki — pełen śpiewności, miejscami głębia i szlachetność, pewne uduchowienie gry, przy tym, duża technika. Doskonale wypadły te miejsca pełne śpiewności — spokojnej — utemperowanej, nieco słabiej miejsca wymagające ujawnienia pewnej dozy temperamentu. Podkreślić należy bardzo udały akompaniament orkiestry. Dyrygent Hindemith umiał rzeczywiście utrafić w prawdziwy umiar, pozwalający na znaczną swobodę skrzypkowi, dobywający na pierwszy plan walory artystyczne koncertu.

Publiki jak zawsze, pełno. Ponoć już we środę czy we czwartek bilety były w komplecie wysprzedane. Zadowolenie — mamy wrażenie — i odtwórców i audytorium, zupełne.

Dr St. Żel.

NIEZWYKŁY ŚWIADEK W SĄDZIE

Nie koniecznie tylko talentem swym naśladowania głosu ludzkiego papuga może się pysznić. Wypadek, który się zdarzył w sądzie budapeszteńskim dowodzi, że ptak ten może mieć jeszcze inne pretensje do przymiotów człowieczych, wywyższających go nad wszystkie ptaki, a nawet nad wszystkie zwierzęta.

Małpa dotychczas nie miała zaszczytu występowania w charakterze świadka sądowego; papuga zaszczyt ten już osiągnęła.

Pewien obywatel węgierski żył sobie spokojnie z kapitału w Budapeszcie po sprzedaniu wioski. Spokój jego mącił jedynie bratanek nasyłaniem ludzi z wekslami. Zdarzyło się raz, że stryj zniecierpliwiony wskazał takiemu gościowi drzwi, przy czym się dał słyszeć głos wołający:

— Ty, łotrze, gałganie, wynoś się pókiś cały!

Kupiec czując się skrzywdzony na honorze, podał skargę do sądu, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast „zaniepokojonego i chętnego do zgody", jak się wyrażał, stryja, ujrzał tegoż z uśmiechniętą miną wchodzącego do izby sądowej z klatką w ręku, a w klatce papugę.

— Co to jest? — pyta sędzia.

— Jest to mój świadek odwodowy, który najlepiej dowiedzie, żem słów ubliżających dla szanownego kupca nigdy nie wymówił, — odpowiada stary szlachcic, a dalej prosi o pozwolenie złożenia przez papugę dowodu, że to ona, a nie kto inny, słowa obraźliwe wyrzekła.

Sąd udawszy się na naradę zezwolił na to i papuga spostrzegłszy lichwiarza, krzyknęła z całej siły:

— Ty, łotrze, gałganie, wynoś się, pókiś cały!

— Nie miałem potrzeby uczyć jej tej sztuki, — ciągnął dalej obywatel, — bo mogę przyprowadzić osobę, od której papugę nabyłem już z tą umiejętnością, a że nigdy nie chciałem podpisywać weksli za mego bratanka, pomimo gróźb jego, to ta sama papuga, także to poświadczy.



Tu, stary szlachcic, udając bratanka zawołał:

— Stryju, proszę cię, podpisz za mnie!

— Nigdy! nigdy nie podpiszę! — zawołała na to papuga, która nieraz asystowała przy podobnych scenach.

Zdekoncentrowany lichwiarz wyznał, że istotnie żadnego weksla nie chciał nigdy stryj podpisać i że tylko podmówiony przez bratanka nachodził mieszkanie pierwszego. Na podstawie powyższego, sąd uwolnił stryja od wszelkiego zarzutu.

E. Dzieduszycka

KĄCIK KARYKATURZYSTY



SZCZEROŚĆ W ROZTARGNIENIU

— Zerwałaś z Karolem? przecież mówiłaś, że ci odpowiada!

— Owszem, lecz zbyt ordynarnie, szczególnie, gdy chciałam ustalić termin ślubu.

Rys. Kubicki — Kraków

— Słuchaj, mężu! Musimy koniecznie wydać zamąż naszą Józię. Wszakże ma już 26 lat...

— Lepiej zaczekajmy jeszcze, aż się trafi ktoś odpowiedni.

— Co? Biedna dziewczyna ma czekać? A czy ja czekałam, aż się trafi ktoś odpowiedni?

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR 31

Problem Nr 20

Mgr. Edw. Arłamowski (Schackvarlden 1940)

Czarne: Ke5, Hg2, Wa7, e4, Gc8, Se1, f5, piony: b3, b6, d7, g4 (11).

Białe: Kd1, Hd2, Wh5, h6, Gb1, f2, Sf8, piony: a5, e2 (9).

Mat w dwóch posunięciach.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 29 i 30

Z nru 29 3-chodówki Nr 19 (Krishnamachariar): 1. S×f7 (grozi G—g4) gra główna 1... K×f5+ 2. W—e5+ G×e5+ (K—f6 3. G—g5×) 3. S—d6×.

Z nru 30 końcówki Nr 20 (Kubbel): 1. G—c6 b3+ 2. K×h3 H—f5+ 3. K—g2 K×a7 4. G—e4 H dowolnie 5. f3+, f4+ lub f×g3+ i wygrywa.

1. f3 h3+ 2. K×h3 H×g5 3. G—e4 H—h6+ 4. K×g3 H—G5+ itd.

Partia Nr 30

Białe: Dr Aljechin — Czarne: Keres

grana w turn. o mistrzostwo Europy w Monachium w r. 1942

Obrona indyjska.

1. Sg1—f3 Sg8—f6	18. b4—b5 a7—a6[9])
2. c2—c4 b7—b6	19. a2—a4 a6×b5
3. d2—d4 Gc8—b7	20. a4×b5 Ha8—a2?[10])
4. g2—g3 e7—e6	21. Se5—c4![11]) Ha2—a8
5. Gf1—g2 Gf8—e7	22. Gb2×f6![12]) g7×f6
6. 0—0 0—0	23. b5—b6 Wc7—c6
7. b2—b3[1]) d7—d5	24. e4—e5 Wc6×b6
8. Sf3—e5 c7—c6[2])	25. Sc4×b6 Sd7×b6
9. Gc1—b2 Sb8—d7	26. Gg2×b7 Ha8×b7
10. Sb1—d2 Wa8—c8	27. e5×f6 Ge7×f6
11. Wa1—c1[3]) c6—c5	28. Sd2—e4[13]) Gf6—e7
12. e2—e3![4]) Wc8—c7	29. He2—g4+ Kg8—h8[14])
13. Hd1—e2 Hd8—a8[5])	30. Hg4—f4[15]) Ge7—f8
14. c4×d5! Sf6×d5[6])	31. Se4×c5! Hb7—c7[16])
15. e3—e4[7]) Sd5—f6	32. Sc5×e6 Hc7×f4
16. b3—b4![8]) Wf8—c8	33. Se6×f4
17. d4×c5 b6×c5	Czarne poddały się.

UWAGI:

1) Sposób gry zwykle stosowany 7. S—c3 prowadzi po S—e4 do rychłego uproszczenia. Posunięciem w partii, które zastosował Dr Euwe w XXIII partii pojedynku z Aljechinem w r. 1937, dąży się do uzyskania gry z udziałem wszystkich figur.

2) We wspomnianej partii Aljechin grając 8... c5 9. d×c5 b×c5 10. c×d5 e×d5 obciążył swoją grę tzw. „wiszącymi pionami" w centrum lecz uzyskał w następstwie kontrgrę, która wystarczyła do remis. Spokojniejszy sposób gry zastosowany w partii daje białym czas do wykończenia zamierzonego planu.

3) Otwarcie gry przez 11. e4 prowadziłoby tylko do remisowej wymiany.

4) Utrzymuje napięcie w centrum i otwiera hetmanowi dobre pole rozwoju.

5) Pozostawia na chwilę nieobronioną Wc7 i tymsamym daje sposobność białym do następującego teraz rozwikłania. Ostrożniejszym było w każdym razie 13... H—b3, poczym WF—c3

6) Mniejszym złem było 14... e×d5, poczym jednakowoż stał do dyspozycji białych silny ruch 15. G—h3!

7) To samo nastąpiłoby w razie 14... G×d5

8) Pointa rozwikłania zapoczątkowanego 14 ruchem. Czarne skrzydło hetmańskie ma być blokowane przez b5.

9) To osłabienie punktu b6 staje się zgubnym dla czarnych w dalszym przebiegu gry. Lecz i po lepszym posunięciu 18... S×e5 19. G×e5 W—d7 20. f3! byłaby pozycja czarnych nie do utrzymania na dłuższą metę.

10) W każdym razie szkodliwa strata tempa, która prowadzi do materialnej straty. Może należało jeszcze spróbować 20... Wc—d8.

11) Keres musiał nie zauważyć tego ruchu w swym obliczeniu.

12) Białe realizują teraz swoją przewagę pozycyjną materialnie. Jeśli 22... S×f6 to 23. S—b6 a jeśli 22... G×f6 to tak, jak w partii 23. b6 poczym 24 e5.

13) Białe wygrywają teraz z łatwością nie tyle dzięki swej niezbyt wielkiej zresztą przewadze materialnej, co wskutek eksponowanego położenia czarnego króla.

14) W razie 29... K—f8 rozstrzyga 30. S—g5 szybko.

15) Błędnym byłoby 30. S×c5 z powodu 30... W×c5 31. H — d4+e5 itd. Teraz niema ratunku przed groźbami 31. H×f7 lub 31. S×c5.

16) Gdyby 31... G×c5 32. W×c5 W×c5 to 33. H—d4+, gdyby 31... W×c5 32. W×c5 G×c5 wówczas 33. H—e5+ i wygrywa.

— Czyż ci nie sprawia przykrości myśl, że gdy umrzesz nieżonaty i bezdzietny, nazwisko twoje zniknie ze świata?

— E, nie, nazywam się Byczek.

•

— Panie doktorze, ostatnio cierpię na zawroty głowy i bardzo mi pamięć nie dopisuje.

— No, to prosiłbym pana o uregulowanie rachunku z góry!

•

— Pańska żona uciekła z kasjerem.

— Nic nie szkodzi i tak miałem go od pierwszego wyrzucić!

•

— Dostałeś dwa lata i za co?

— Za naruszenie tajemnicy listowej!

— I za to aż dwa lata więzienia, to stanowczo za dużo!

— No, bo, niestety, był to list pieniężny...

•

— Czym zostanie pański syn po ukończeniu prawa?

— Starcem.

•



Policjant: — Przyszedłem panią aresztować, gdyż wpłynęło na policję doniesienie, że pani znęca się nad niejakim Stanisławem Moniuszką.

Die Woche

— Słuchajno, Janku, twoja żona szalenie zachrypnięta, czy to nie grypa?

— Ale gdzież tam! Naprzód gniewała się na służącą, potem gniewała się na mnie, że ja nie gniewałem się na służącą, a teraz gniewa się znowu na mnie, że ja gniewam się na nią, że się gniewała na służącą...

•

— Jedno mnie tylko dziwi, że tej nudnej sztuki nie wygwizdano.

— Cóż chcesz, podczas ziewania nie można gwizdać!

•

Doktór: — Wyzdrowieje pan na pewno! Statystyka stwierdza, że jeden na stu pacjentów takich jak pan, zostaje uratowany.

— To wcale nie pocieszające.

— Jak to, nie? Jesteś pan właśnie moim setnym pacjentem na tę chorobę. Poprzednich wyleczyć nie zdołałem.

•

Ojciec: — Co to znaczy, dzieci? Zamiast się uczyć — nic nie robicie i w dodatku palicie papierosy? Gdzie jest korepetytor?

Dzieci: — Palił także, zrobiło mu się niedobrze i musiał wyjść.

•

Stara panna na balu do proszącego ją dansera:

— Ależ, panie sędzio... przecież pan chętniej tańczy z młodszymi ode mnie.

— Hm... łaskawa pani... raz przecie trzeba załatwić zaległe kawałki.

•

Sędzia: — Dlaczego nie wystąpił pan w obronie, kiedy pan widział, że teściową biją?

Zięć: — Panie sędzio, widziałem doskonale, że ten człowiek sam sobie da z nią radę.

•

Lekarz: — Przede wszystkim musi pan panie profesorze brać kąpiele słoneczne.

Profesor: — Ciepłe, czy zimne, panie doktorze?

•

— Do czego nie dochodzi dzisiaj technika! — dziwi się ktoś. — Nie dawno słyszałem na koncercie pianistę, który miał tylko jedną rękę.

— To jeszcze nic — odpowiada drugi — w Budapeszcie usłyszałem śpiewaka, który nie miał w ogóle głosu.

•

Józiu jest zakochany i mówi najdroższej:

— Kochanie, z miłości do ciebie mógłbym góry przenosić.

— To się doskonale składa — odpowiada ona.

— Dlaczego?

— Bo na pierwszego moi rodzice zmieniają mieszkanie i będziesz mógł im pomóc przy przeprowadzce.

•

— To jest mój najlepszy obraz. Mogę go sprzedać panu po cenie katalogu.

— Hm... a ile kosztuje katalog?

•

— Ale ta mała Alinka jest zupełnym portretem pani!

— Rzeczywiście, ojciec jej bowiem był fotografem.

•

Dama do malarza: — Czym pan właściwie miesza swoje farby?

Malarz (rubasznie): — Z rozumem.

Dama: — Acha, teraz już mogę rozumieć, dlaczego pan został miniaturzystą.

•

— Udało się polowanie?

— Udało się — przeszło 30 zajęcy.

— Że przeszło wierzę, ale ile zostało?

•

— Czy ten pasztet jest naprawdę z samych kuropatw?

— Nie, mój drogi, jest w nim też trochę wołowiny.

— Jak to wołowiny?

— Tak w sam raz, pół na pół; jeden wół i jedna kuropatwa.

•

Nauczyciel objaśnia w szkole dzieciom, co to jest barometr. Chcąc dzieci naprowadzić i zainteresować lekcją, pyta jednego z uczniów:

— Według czego stosuje się twój ojciec, gdy wychodzi na dłuższy czas z domu?

— Według tego, co mu mama powie, panie profesorze.

•

— Czy pani dziecko nauczyło się już mówić?

— Jeszcze jak, właśnie teraz musimy go znów oduczać.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



Matka do stroiciela fortepianu:

— To tak, pan, stroisz fortepian?

Córka: Tak, mamciu, ja byłam także rozstrojona...

Neue Illustrierte Zeitung

Pacjent wchodzi do młodego lekarza, który rozpoczyna praktykę. Otwiera mu żona lekarza.

— Czy zastałem pana doktora?

— Tak... ale czyby pan jednak nie był łaskaw przyjść jutro? Bo jutro są imieniny męża i sprawiłoby mu to wielką niespodziankę, gdyby zobaczył pacjenta...



— Przepraszam cię na chwileczkę, skarbie, bo zdaje mi się, że pieczeń się przypala.

Die Woche



PRZED ZADUSZKAMI

Fot. Borek